Rok VI. Katowice, dnia 25 sierpnia 1933 r. Nr. 12.



NA TROPIE

1933 JAMBOREE

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ
Wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca

NUMER POŚWIĘCONY JAMBOREE.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

Atmosfera dżemborowa.

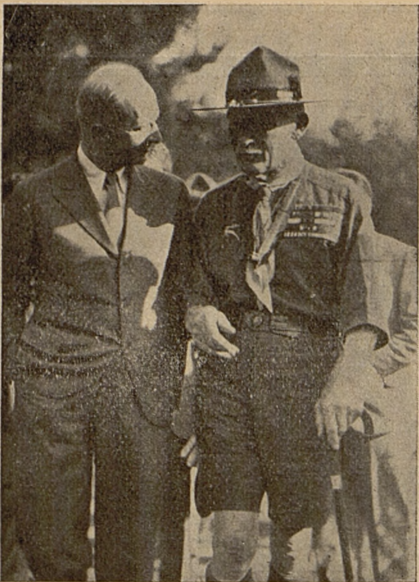
Jak określić istotę Jamboree? Czem ono jest? Szereg posiedzeń? Konferencji? Zabaw?

Ani jedno, ani drugie. A raczej i jedno i drugie i trzecie, wszystko w wirze oszałamiających barw, nieustającego gwaru, zgiełku i beztroski. Niby coś w rodzaju wszechświatowej wystawy w miniaturze, na której myślanoby dużo o wzajemnem poznaniu się, trochę o propagandzie, a wcale o businessie. Business prawie nie istnieje. Prócz sklepów t. zw. miasteczka, gdzie kupcy budapeszteńscy sprzedają po znacznie podwyższonych cenach swe towary oraz zacnego CKDH., królującego pośrodku polskiego obozu, w którem szczególnie wyroby Wedlowskie cieszą się międzynarodowym pokupem, — Jedyny handel jaki kwitnie na terenie Jamboree, to osławiony tradycyjny „change". Mieniają wszyscy wszystko. Change staje się prawdziwym nałogiem, manią, sportem. Mieniają „kuzyn" i stryjek siekierkę na kijek, (dosłownie). Mieniają żywego wielbłąda na krajkę, skórę pantery na pantofle, ciupagę na wysuszonego krokodyla, torbę huculską na miotełkę egipską, lilijkę harcerską na kozik, czapkę na kapelusz, chustkę krakowską na ołówek, ołówek na rzemyk, rzemyk na spinkę, spinkę na krawat... Niektórzy chodzą obwieszeni „changeami", jak drzewko gwiazdkowe świecidłami. Pozierają pilnie na boki, gdzieby jeszcze można coś nowego zdobyć. W braku przedmiotu, egzotyczny autograf lub fotografję.

Pewien Walijczyk posiada materac pokryty pozdrowieniami harcerskiemi we wszystkich językach. Ciekawym pokazuje z dumą tę kolekcję, a przy okazji siennik zapinany na błyskawiczny zatrzask i namiot, na którym wymalował całą historję swego życia od chwili urodzenia aż do przyjazdu na Jamboree. Dzieje te zresztą są dla niewtajemniczonych mało przejrzyste, a nawet dla wtajemniczonych mało urozmaicone. Skaut walijski spogląda jednak na nie z rozrzewnieniem, ćmiąc nieodstępną fajeczkę.

Tuż obok Węgier ćwiczy się do pokazu lassem na arenie. Sznur rzucany z niewiarogodną zręcznością otacza go przezroczystą smugą, wije się i pętli, sięga posłusznie gdzie każą. Między drzewami starego parku snuje się błękitny dym, niosąc smakowite zapachy kuchen. Konferencja Skautowa Międzynarodowa zasiada w wielkim klasztorze OO. Premonstransów, na górze, za stacją położonym, i starszyzna radzi tam usilnie, rozstrzygają się ważne sprawy, lecz tu w obozie któżby o nie dbał, gdy wokoło życie samo kipi, przelewa się i tętni? Uchwycić dokładny jego obraz, dać szczegółowe sprawozdanie, — daremny trud! Dwudziestu reporterów puszczonych skroś olbrzymich obozów nie dałoby rady, nie zdołało zobaczyć wszystkiego, co warte widzenia. Jednocześnie funkcjonują kino, wystawa harcerska, w wielkiej hali pomieszczony teatr, gdzie nieustannie ktoś coś przedstawia. Szarobłękitny Norweg gra rzewnie na skrzypcach, — Polacy tańczą mazura, aż drzazgi lecą z podłogi, — Węgier — magik pokazuje czarodziejskie sztuki... Lecz już z teatru ciekawość ciągnie na stadjon, gdzie puszczają modele szybowców. Sjam defiluje lśniąc miedzianemi torsami, na których pobrzękują wspaniałe barwne świecidła. Szwedzi się gimnastykują. Węgrzy prezentują rower nowego pomysłu poruszany nie ruchem nóg, lecz gwałtownemi i zapewne męczącemi przysiadami. Marynarze tańczą taniec delfinów. Publiczność śmieje się, klaszcze, smokcze lody. Dwóch Arabów w zawojach szeików, przybyłych z Palestyny, lecz rodem z Sosnowca, fotografuje się z młodą Węgierką odzianą w śliczny strój narodowy. Wśród ogólnej sensacji i okrzyków, Baden-Powell przejeżdża, zdążając na podwieczorek do polskiego obozu. Austrjacy idą również do kogoś w odwiedziny i Tyrolczycy jodlują, dmąc na zmianę w swe wielkie trąby z kory. Tłumy ciekawych, lub żądnych change'u tłocza się przy namiotach ceylońskich, pełnych egzotyki. Wre nieustający kiermasz, odpust, samorzutna zabawa. Sznur fotografów zdejmuje hinduskiego skauta o twarzy maharadży i białym zawoju, idącego pod ręką z maleńki skaucikiem Szkockim. Nad kramami pełnemi owoców brzęczą roje os. Pachną melony, brzoskwinie i morele. Wbrew pogłoskom o właściwościach deszczowych Baden-Powella, pogoda jest piękna, węgierska, słoneczna jak kukurydza, wonna jak melon. Przez gwarny bazar przeciska się kilkaset głów liczący oddział włoskiej Balilli, bawiącej tu nieoficjalnie, nie należącej do związku harcerskiego.

(Ciąg dalszy na str. 140).



Naczelny Skaut na przyjęciu w obozie polskim z posłem R. P. w Budapeszcie, p. Łepkowskim.

Skaut Naczelny mówi...

(z pożegnalnego przemówienia Lorda Baden Powella na IV Jamboree.)

„... możecie uważać Białego Jelenia za dobrego ducha skautingu. Skacze on naprzód i wgórę, symbolizując w ten sposób, że powinniście zawsze iść naprzód i wgórę, przeskakując wszelkie przeciwności, wychodąc przygodom naprzeciw w swem czynnem dążeniem do wyższych zadań skautingu, zadań, które przynoszą ***szczęście.***

Zadaniami temi są: spełnianie całem sercem swego obowiązku względem Boga, swego kraju, oraz swoich bliźnich, przez spełnianie prawa skautowego. W ten sposób każdy z was dopomoże do ziszczenia się Królestwa Bożego na ziemi — mianowicie do zapanowania Pokoju i Dobrej woli między ludźmi ...“

Już wkrótce ukaże się piękna książka o Jamboree, pióra Zofji Kossak-Szczuckiej.

Książka ta będzie bogato ilustrowana rysunkami i fotografjami, a cena jej będzie tak przystępna, aby każdy mógł ją nabyć.

Jamboree 1933 MAGYAR CSERKÉSZ BUDAPEST-GÖDÖLLŐ

Redaktor ma głos.

Dzięki temu, że koc był potężnych rozmiarów, zmieścili się na nim wszyscy członkowie redakcji polskich artykułów w przyszłem piśmie jamborowem.

Było nas mnóstwo, nieomal cała redakcja „Na Tropie“ i niektórzy inni. Redaktorem okrzyknięty został Kamień-Bambaju.

On oto mówi, a my wchłaniamy w otwarte uszy cenne słowa. Słońce zalewa nas roztopionem złotem, niebo jest wysokie i jasne. Kamień rozdziela role: artykuły wstępne, reportaże z obozów, czego się można nauczyć u innych, kronika codzienna, czarne roboty.

Auto natropowe,

dzielny fordzielec, powiewające czerwono-białą chorągiewką z pięknie wyhaftowanym napisem „Na Tropie“, rży i grzebie kołem. Niecierpliwe, zaniepokojone długą, 400-to kilometrową przyszłością, drży jak rasowy, niebieski rumak. Parsknęło parę razy i ruszyło z koła w biały szlak przygód. Przepiękne serpentyny, owijające szaleńczemi skrętami polskie i słowackie Karpaty, wiodą nas przez straże celne, wioski o dziwnych, zlepionych ze sobą w długie szeregi domkach, gdzie w szerokich wnękach bram, prowadzących nawskroś domu w podwórze, grzeją się słońcem i płotkami babki, przez kilometrowej wysokości, najeżone lasami, szczyty, przez długie doliny rzek. Nie można się skarżyć na brak urozmaicenia. W pewnem miejscu przebiega nam drogę zając i zaraz potem piękny trakt wpada nagle ze zgrzytem w straszliwy, karkołomny wertep, z którego, po półtoragodzinnej tułaczce wyjeżdżamy cało tylko dlatego, bo ktoby robił polskie strony w jamborowem piśmie?

Nocleg urządzamy w słowackiem jeszcze miasteczku: Różniawie. Rankiem znów w drogę. W benzynie skądś znalazł się cukier, trzeba co kilka-kilkanaście kilometrów stawać i wietrzyć motor. Niebo kurczy się, obsuwa i zaczyna pluć na nas kapuśniaczkiem. Kpimy z przeszkód! Sadzimy przez węgierską pusztę, radośnie opryskując błotem piękne stada autentycznych węgierskich świń i równie na całym świecie głupich gęsi, które syczą na auto i robią taką minę, jakby żądały, byśmy się zatrzymali i opowiedzieli im: z czem i poco? Ponieważ nie chcemy znaczyć swej drogi szlakiem trupów, cierpliwie, choć z ponurym gniewem w sercach, omijamy je, zwalniając biegu. Deszcz leje, zalewa się, zachłystuje... Wszystko jedno!... Dalej!... Na lewo... Ostatni łyk benzyny!

Skaut z żółtą krawatką

stoi przed stacją z napisem Gödölö i wskazuje, gdzie mamy zajechać. Nie

Rozmowa z Druhem Przewodniczącym.

Dopiero w dniu wyjazdu na tygodniowy urlop wypoczynkowy, o godz. 6-ej rano osiągam chwilę rozmowy z Druhem Wojewodą, dr. M. Grażyńskim.

— Druhu Przewodniczący, przywykliśmy już u Druha szukać najbardziej autorytatywnego sądu o naszych imprezach i wskazań dla naszej dalszej pracy. Prosimy więc bardzo i dziś nie odmówić nam swej odpowiedzi na kilka pytań.

— ?

— Jakie znaczenie miał dla Związku H. P. tak liczny jego udział w Jamboree?

— Wszystkie nasze wystąpienia na terenie międzynarodowym w przeciągu ostatnich lat miały na celu zdobycie dla Związku należnego mu stanowiska w bratnim kręgu skautowym. Uważam, że udział nasz na Jamboree w Gödöllö był pełnem powodzenia zakończeniem tej akcji. Świat skautowy poznał naszą wartość i nauczył się nas cenić.

— Czy Druh Przewodniczący zadowolony jest z naszej wyprawy?

— Wyprawa przyniosła cały szereg pierwszorzędnych sukcesów. I tak 1) wprowadziliśmy po raz pierwszy w historji naszego ruchu polskiego kandydata do Komitetu Międzynar. złożonego z 9-ciu osób, 2) uzyskaliśmy zgodę państw słowiańskich na urządzenie w roku 1935 zlotu słowiańskiego w Polsce, do której przejdzie również w przyszłym roku Biuro Skautów Słowiańskich pod moją prezesura, 3) w zakresie szybownictwa zajęliśmy czołowe miejsce w ruchu skautowym, co przyznał sam Baden Powell, stawiając nas za wzór innym. Zdobyliśmy też w tej dziedzinie pierwszą nagrodę. Wybiliśmy się również w żeglarstwie. Jeśli doda się do tego jeszcze, że zyskaliśmy w Gödöllö ogromną popularność wśród zgromadzonych tam skautów wszystkich narodów, że odnowiliśmy dawną przyjaźń narodów polskiego i węgierskiego, zwracając na siebie uwagę węgierskiego społeczeństwa, dalej — twórczy udział w konferencji międzynar., gdzie referaty polskie wzbudziły wybitne zainteresowanie, polską inicjatywę w zakresie współpracy prasy skautowej i skautów - plastyków — to przyznać trzeba, że z wyników naszej wyprawy do Gödöllö mamy prawo być w pełni zadowolonymi.

— I jeszcze jedno, Druhu Przewodniczący. Przy okazji chciałbym zapytać, jakie, zdaniem Druha, prace czekają Związek w nadchodzącym roku szkolnym?

— Na pierwszy plan wysuwa się akcja zwiększenia ilości ośrodków kształcenia starszyzny. Jestto konieczne, by uniknąć obniżenia tętna i poziomu naszej pracy, przy nieustannym napływie mas młodzieży do Związku. Już w październiku uruchomiony zostanie stały ośrodek szkolenia wodzów zuchowych. Pracujemy również nad stworzeniem drugiego, obok Bucza, centralnego ośrodka kształcenia starszyzny harcerskiej.

Czeka nas wielkie zadanie wykończenia programów pracy. Trzeba przeprowadzić ich zróżnicowanie według wieku i środowiska, kładąc szczególnie nacisk na potrzeby pracy na wsi.

W naszej działalności międzynarodowej musimy w dalszym ciągu rozbudowywać uzyskane sukcesy. Trzeba będzie opracować programy kursów i obozów międzynarodowych, oraz wymiany skautów po myśli naszych referatów i wniosków zgłoszonych na Kongresie w Gödöllö. Dalej — o ile chodzi o zagranicę — to czeka nas wielki wysiłek objęcia w ramy harcerskie młodzieży polskiej zagranicą. W pracy na tym odcinku przygotujemy teren przez systematycznie przeprowadzone kursy kierowników. W końcu musimy rozpocząć bezzwłocznie przygotowania do Zlotu Słowiańskiego.

Słowem — poprowadzimy ofenzywę na wszystkich polach naszej pracy! —

Ledwie zdążyłem rzucić kilka słów podziękowania za wywiad w imieniu wszystkich czytelników „Na Tropie" i pociąg, uwożący Druha Przewodniczącego niknie mi z oczu.

Henryk Kapiszewski.

żal uśmiechnąć się do policjanta, gdy jest nim skaut. Tem bardziej, że deszcz zelżył i jesteśmy na miejscu.

Posiliwszy skołatane żywoty w restauracji stacyjnej, wjeżdżamy w Park dawnych królów Węgier, zamieniony już w 25-cio tysięczne miasto skautowe. Drużyny węgierskie już się rozbiły, już mieszkają, ale przybysze z obcych krajów kotłują się jeszcze; stukot, pokrzyki, szum rozciąganych płacht namiotowych.

W poszukiwaniu swoich gratów, które przyjechały koleją, zderzam się z nadwornym fotografem „Na Tropie". Siedzi w czerwonych portkach nad stosem przyborów fotograficznych i buduje z dykty ciemnicę. Wszystko w własnym zarządzie: aparat do zdjęć w ruchu, aparat do zdjęć momentalnych, wszelkie niezbędności do wywoływania klisz i robienia odbitek. Fotograf utrzymuje, że za godzinę będzie w domu.

Skierowuję się ku wyjściu i natychmiast błądzę. Ścieżki, klomby, namioty: zielone, pomarańczowe, niebieskie, białe; bramy, ogrodzenia, błoto. Nie wybrnę! Halo! żółty krawat: policjant. Informuje mnie: „na prawo, na lewo, do środka, wtyl". Po drodze jeszcze kilku uprzejmych dyryguje mną i po półgodzinnej tułaczce jestem na drodze. Teraz do domu i spać, spać mnóstwo zadużo. A nazajutrz, w piękny poranek do

Redakcji.

Domek z zielonemi żaluzjami i bramą na placu Franciszka Józefa jest redakcją. Wejścia strzegą małe skauciki. Trzeba mieć odznakę jamborową i oprócz tego kartkę z napisem „Jamboree Press", by się móc dostać do wnętrza.

Redakcja składa się z trzech lokali. Jeden zajęty jest wyłącznie przez współpracowników węgierskich. W drugim rezyduje redaktor naczelny, Józef Koszterszitz, grubszy pan, z uśmiechem cierpliwej wyrozumiałości, przyjmujący nasze bełkotliwe pretensje, podniecone interpelacje, awanturowania się o kiepską korektę. „Jak można podpisać ilustracje: szajning dziecięcy? Co to znaczy? To jest nic! To ma być szatnia, nie szajning. Jak można było coś takiego puścić?" — irytuję się. Ale z biegiem czasu zrozumiałem, że błędy w obcojęzycznych tekstach są nieuniknione, albowiem

język węgierski

wymyślony został przez złośliwych ludzi którym specjalnie zależało na tem, by Węgrzy nie mogli zrozumieć innych Europejczyków i wzajemnie. Polacy rozumieli tylko dwa węgierskie słowa: kapusta i papryka, które znaczą u nas to samo, co u nich. Pozatem nic. Polska np. nazywa się Lengyelorszag, proszę znaczy tessek, a wino — sör. Na szczęście jest w składzie węgierskiej redakcji

szalony poliglota.

Nazywa się Maryassi i mówi równie dobrze po francusku, angielsku, czesku i niemiecku, pomijając węgierski, z którego z miejsca rezygnujemy, mimo całej sympatji do pełnych poświęcenia i dobrej woli organizatorów wspaniałego Jamboree. Trzeci pokój zajmujemy my, redaktorzy obcojęzyczni.

Siedzi tam chudy, wyblakły, niewypuszczający z ust papierosa, redaktor największego na świecie pisma skautowego, angielskiego „The Scout", Mr. Dimmock, którego dla wygody nazywamy Dymkiem. Ma do pomocy dwóch Anglików i zielonego jak młode zboże Irlandczyka.

Monsieur Rolland, kropi z szybkością trzech wierszy na minutę, artykuły francuskie. Jest wytrawnym dziennikarzem. Gdyśmy mu robili wyrzuty, że z całą dokładnością opisuje pożegnalną defiladę narodów przed Naczelnym Skautem Świata na dwie godziny przed jej rozpoczęciem, odpowiedział z pogardą: „dobry dziennikarz wie wszystko zgóry". Nabrał się potwornie, bo lunął deszcz i defilade odwołano, a artykułu nie dało się już wycofać. Nabijano się później z biednego Rollanda bezlitośnie.

Herr Zimmermann, redaktor organu wiedeńskich skautów katolickich, „Der Pfadfinder", pracuje jak wół roboczy już od 8 rano. Jest przykrótki i żeby móc

Marsz na podbój serc.

Nasza wyprawa do Gödölö nie ograniczyła się do samego udziału w Jamboree. Swoje odrębne znaczenie miały takie jej fragmenty, jak nasza wyprawa kolarska, piękna tura kajakowa Wag—Dunaj naszych harcerek i harcerzy wodnych, wycieczka do Wiednia w związku z uroczystościami 250-lecia odsieczy wiedeńskiej i t. p. Była jednak jeszcze jedna wyprawa, powracających z Gödölö harcerzy, której znaczenie przewyższa inne, chociaż prasa najmniej może o niej pisała.

Jest nią przemarsz przez zachodnią Słowaczyznę i Czeski Śląsk Cieszyński, którego celem było nawiązanie bezpośrednich, przyjaznych stosunków z ziemiami, graniczącemi z Polską.

Nie był to pierwszy taki przemarsz. Już 20 lat temu szlakami Spisza i Orawy przemaszerowała wyprawa harcerska z Orłowej. Poszły niemi również Wyprawy H. P. C. w latach 1927 i 28, a wreszcie w 1931 roku przeszedł przez ziemie Czadeckiego i Śląska Cieszyńskiego wspaniały przemarsz harcerek i harcerzy, powracających z Pragi. Wreszcie i tego lata znów ziemie te zaroiły się od harcerskich zastępów.

Pochód ich był iście triumfalny.

Goszczono ich hojnie i z radością. Harcerskie ogniska wieczorne skupiały od paruset do paru tysięcy osób. Kościoły słowackie dzień w dzień rozbrzmiewały polską pieśnią.

W dniach od 14—20 sierpnia trzy wielkie grupy od Św. Turczańsk. Marcina, Żyliny i Rużomberoku ruszyły pod komendą dha M. Łowińskiego ku polskiej granicy, rozwidlając się po drodze na wszystkie miejscowości zachodniej Słowaczyzny. Czwarta grupa wzięła udział w wielkiem święcie Słowaczyzny w Nitrze złożyła wizyty w Bratysławie i Pradze i rozpaliła ognisko w Morawskiej Ostrawie, skupiając przy niem — podobnie, jak ogniska innych grup w Jabłonkowie i cz. Cieszynie — rodaków.

Do ważniejszych momentów tego przemarszu należała wizyta naszych chłopców u Prez. Masaryka, bawiącego w tych stronach na wakacjach, przyjęcie przez przywódców ludu słowackiego w Turcz. Św. Marcinie, — a wreszcie uratowanie przez naszych chłopców wsi Bańska Bystrzyca, przed spłonięciem.

Przy ognisku w Cz. Cieszynie zasiadł również Przewodniczący Z. H. P., druh Grażyński, który w swej gawędzie skreślił znaczenie „wielkich wycieczek przez Słowaczyznę“.

Na uroczystość ich zakończenia przybyli na Bucze przedstawiciele skautów czeskich i słowackich, przybył ref. drużyn polskich Svazu, dr. Kral, Redaktor „Bud' pripraveny“ brat L. Janza i wielu gości z Polski.

Wyprawa zrobiła łącznie 22 tysiące „kilometro-harcerzy“. Zostawiła po sobie — jak jednogłośnie stwierdzają przedstawiciele ludności słowackiej i polskiej — najlepsze wspomnienie o młodej Polsce, prawdziwy dla niej podziw i największą serdeczność.

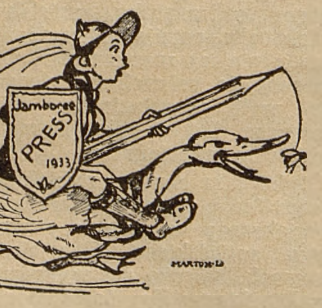
---

wygodnie pisać na maszynie, kładzie na krzesło paczkę gazet. Ciężki swój los jedynego redaktora i autora artykułów niemieckich znosi z pogardą.

Polska redakcja jest zorganizowana znakomicie. W obozie naszym stoi duży

Namiot Prasy,

gdzie są do rozporządzenia dwie maszyny, świetna polska Efka i amerykański gruchot: Underwood. Zresztą i zapobiegliwi gospodarze zaopatrzyli redakcję w maszynę z polskiemi czcionkami. O jedenastej zdobywa się w namiocie prasy fotografje i rysunki do naszych artykułów w „Jamboree Magyar Cserkesz“ (czytaj dżembori madjar czerkes; madjar czerkes znaczy: węgierski skaut i jest nazwą miesięcznika, głównego organu skautów węgierskich). Gazeta jamborowa jest dziennikiem, ma 24 strony, w czem 6 stron samych fotografij i rysunków.



W namiocie prasy praca wre już od wczesnego ranka. Bo artykuły w Czerkesie, to tylko część czynności polskiej prasy. Prócz tego trzeba zaopatrzyć gazety w kraju w wiadomości z jambo. Specjalista w tym resorcie grzmi na Efce sążniste komunikaty które, powielone, niosą do Polski wieści z skautowego koczowiska.

A oprócz tego jeszcze ukazuje się dwa razy dziennie w obozie na artystycznie wykonanej tablicy gazetka obozowa. Wszystko na niej mogą wyczytać chłopcy: i co się stało wczoraj u Jamajczyków, i że wielbłąd w obozie Syryjczyków jest dziś od rana w złym humorze, jest kącik rozrywek, są opisy obozowego życia, wycinki z gazet polskich: o sporcie, o Hitlerze, o Zjeździe Legionistów, o wielu innych rzeczach, masa oryginalnych fotografij i rysunków. Jest to najciekawszy dziennik, jaki w życiu czytałem. A czytam dużo.

Zaopatrzony w fotografje i rysunki, wracam do redakcji Czerkesa i zajmuję miejsce przy polskiej maszynie. Dostaję do tłomaczenia „List do Jamboraków“. Piszę w nim, żeby nie chodzono w obozie na głowach, bo tłumnie zwiedzająca publiczność niepokoi się, żeby nie przeczendżowano butów. bo boso wolno chodzić tylko przed południem, żeby po ciszy wieczornej nie grali na kobzach, bo są tacy, co się chcą trochę przespać, żeby nie zapomnieli, że w domu zostawili rodziców i rodzeństwo, którzy radziby wiedzieć, co też tam na Węgrzech się dzieje. Poliglota Maryassi opowiada mi treść listu, a ja, skapowawszy treść, kropię polski tekst.

Tymczasem Redaktor Kamień

siedzi w obozach i wyciąga na spytki Czechów, Jugosłowian, Bułgarów, Estończyków, szoferów, zwiedzającą publiczność, panny w sklepach: robi wywiady. Każdy się musi przed nim wytłómaczyć, poco i z czem tu przybył, czego się od niego można nauczyć, jakie mu najlepiej smakują potrawy, ja kmu się wydają Polacy. Napisawszy, co usłyszał, przynosi to do redakcji, gdzie przepisuje się na maszynie.

Zwinny Tur uwija się od namiotu do namiotu, podpatruje, podsłuchuje, wpadnie na chwilę do teatru i kina obozowego, zobaczy, co się dzieje na placu sportowym i arenie, jakie popisy, pokazy, jak się podobają, co gdzie jest ciekawego dla nauki i zabawy, czego należy unikać.

Najpracowitsza z redakcji autorka artykułów wstępnych, Zofja Kossak-Szczucka, ma już spewnością napisaną swoją rzecz i to odrazu na maszynie.

W redakcji praca kipi. Maryassi udręcza już listem do jamboraków Zimmermanna. Dymek pisze sążnisty artykuł o popisie skautów wodnych i ubolewa, że Anglicy nie wzięli w nim udziału. Irlandczyk pyka fajkę i szuka natchnienia na suficie. Rolland uważa, że mimo wszystko czas już na obiad. Gremjalnie aprobujemy ten świetny pomysł.

Od 15-tej do 18-tej.

To są godziny najsilniejszego ruchu. O 18-tej musi cały materjał w pięknych maszynopisach (trudno wymagać od zecerów, by łamali oczy na rękopisach w czterech obcych językach) powędrować 30 kilometrów do Budapesztu, gdzie cały oddział składaczy i zecerów pracuje ciężko, by na 9-tą był już numer w rozsprzedaży.

Największy galimatjas jest z tłumaczeniem artykułów „oficjalnych“. Są to przemówieniach Najważniejszych: Regenta Węgier, Horthyego, Naczelnego Skauta Świata, Komendanta obozu hr. Teleky'ego; są wspomniane listy do jamboraków, program popisów, pokazów, wycieczek, teatru, kina na dzień przyszły, podpisy pod fotografje i in.

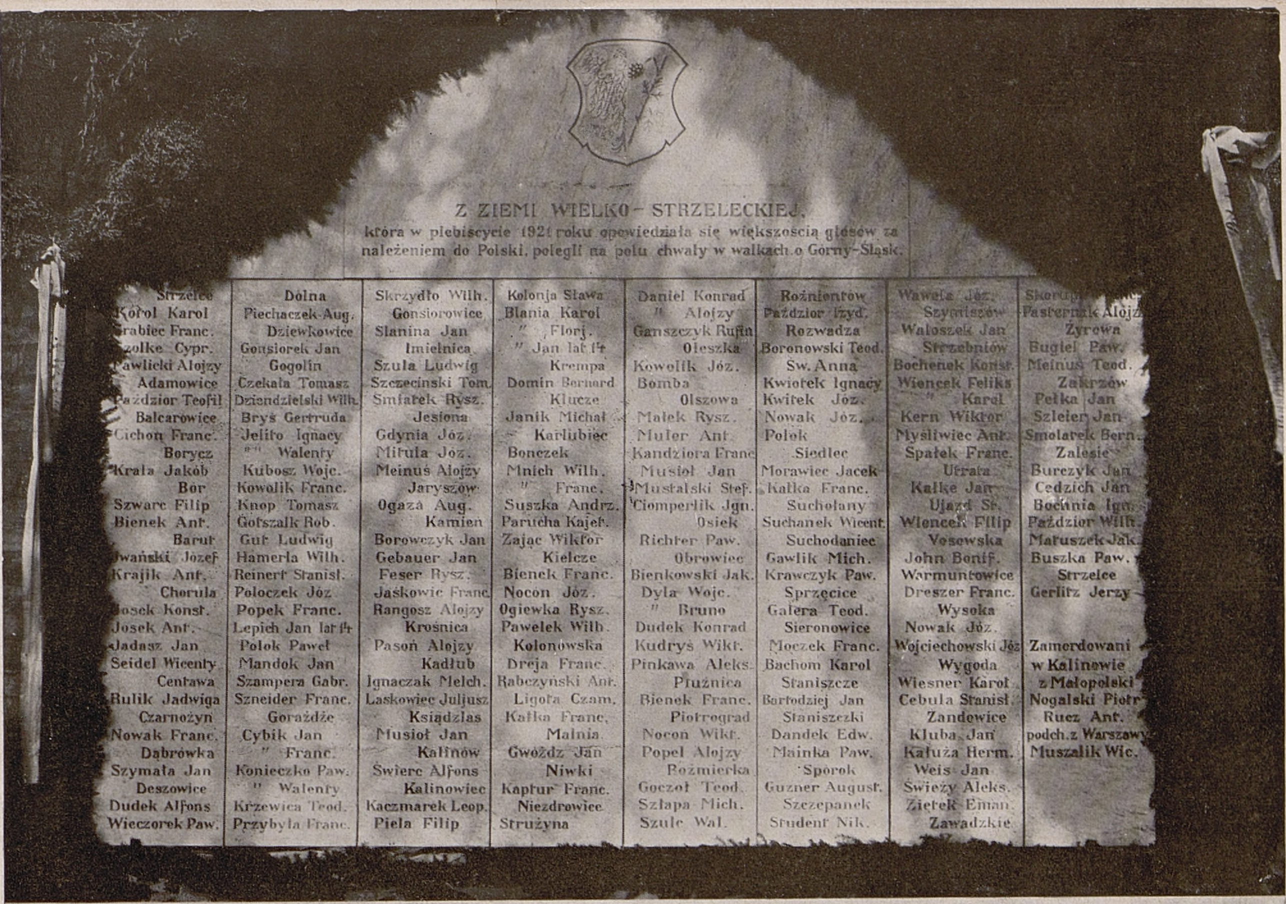
Maryassi już nie może nastarczyć. Przybywa mu sukurs znudzony poeta Tibor, znający język francuski i kiepsko niemiecki. Wybuchają spory na temat interpretacji tego czy tamtego zdania, zakończone zwykle tryumfalnym rykiem, gdy się okaże, że obaj rozmówcy, posługując się słabo zrozumiałym dla obu językiem, wogóle nie kapują o co im chodzi. Gdy naprzykład raz prowadziłem gorączkowy dyskurs z poetą Tiborem po niemiecku, Austrjak Zimmermann zapytał nas w pewnej chwili: „przepraszam, czy aby druhowie nie rozmawiają jakiemś germańskiem narzeczem, bo niektóre słowa zupełnie dobrze rozumię?“ Speszyliśmy się bardzo.

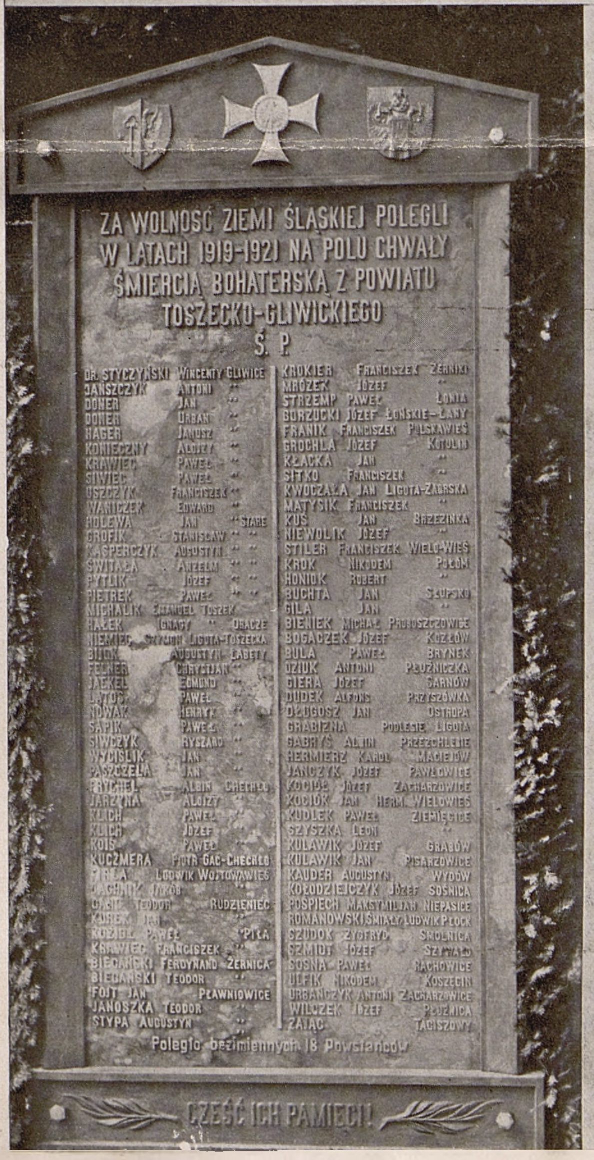
Trudno się zresztą dziwić, że się nam mózgi plączą. Jest 35 stopni waru w cieniu. Dymek z papierosem w ustach wcisnął sie w kąt i śpi jak kot na przypiecku. Obudzony homeryckim śmiechem, długo i wyrazíście tłumaczy nam, że postępujemy nieludzko, przerywając mu drzemkę. Od czasu do czasu służbowy wpada do pobliskiego sklepiku i przynosi lody w biszkoptach, po 20 filerów sztuka.

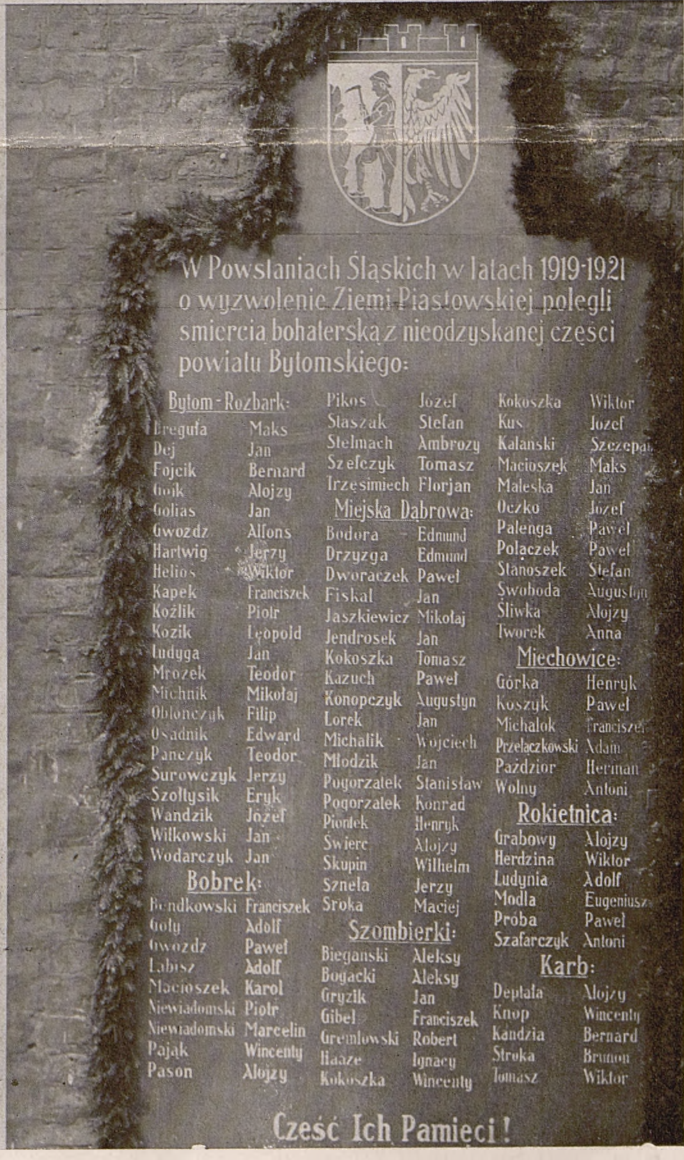
9 rano.

„Jamboree Magyar Cserkesz! Ara hus filleeeer! Jambore programia!!! „Za jedne 20 filerów gazeta jamborowa; program pokazów, teatru, popisów. Najnowsze wiadomości z obozu“. — Małe skauciki z pierzastą rośliną na kapeluszu hulają po obozie i mieście, rozdzierając gardła.

Ex. sk.







Imię i nazwisko uczestnika: .... wiek: .... dokładny adres: ....

W załączeniu przesyłam:

1. spis odczytanych miejscowości, 2. mapkę Śląska wg. danych z punktu 3., 3. opis „Co wiem o Śląsku".

....

(własnoręczny podpis.)

(Tu odciąć)

ZOFJA SZATKOWSKA
(Kossak-Szczucka).

S. O. S.

15)

Tomasz Radnowski, speaker Polskiego Radja, i jego siostra, Jadwiga, harcerka, opiekują się chłopcem-sierotą, Adasiem, którego wychowaniem zajął się ksiądz Michalak. W starym domku, stojącym na parceli, na której ksiądz Michalak zamierza wybudować zakład dla sierot, mieszka – oprócz księdza i jego wychowanka — również dwóch młodych ludzi, Ilski i Kozub. Ilski zaręczony jest z drugą siostrą Tomasza, wiele o strojach i zabawach myślącą urzędniczką banku, Kotą. Adaś i jego przyjaciel Rudek, porządkując parcelę pod przyszłą budowę Zakładu napotykają obok banku na ślady jakiejś tajemniczej pracy w starych, napół zawalonych piwnicach. Adaś wybiera się tam w nocy, spotyka się z Ilskim i Kozubem, który rozpoznaje w nim swego brata. Od tej chwili wszelki ślad po Adasiu ginie. A tymczasem Kota...

Kochała swoją sylwetkę niby wyciętą z tygodnika mód, swe włosy koloru słomy i krucze, sztucznie przedłużone, lepkie od lakieru rzęsy. A paznokcie! Błyszczały na końcach palcy, jak tyleż klejnotów. Z przyjemnością śledziła wzrokiem za niemi, gdy sprawnie przebiegały po klawiaturze maszyny. Dyrektor był nieczuły na ich piękno, przeto uważała go zdawna za prostaka. Na szczęście, umieli je ocenić inni...

Ale otóż!... W to błogie poczucie wkradł się od pewnego czasu niepokój, przechodzący w rzetelne zmartwienie. Narzeczony, ten idealnyp narzeczony, którego zazdrościły jej koleżanki, opuszczał się w gorliwości... Przychodził rzadziej, zostawał krócej... Tłómaczył to nawałem pracy, bliskiemi egzaminami, w samem jednak tłómaczeniu było coś zdawkowego, niecierpliwego, co uderzało nawet nie grzeszącą domyślnością Kotę. — Mój narzeczony przestał mnie kochać... powtarzała sobie żałośnie, zapominając, że całe rzekome narzeczeństwo było jej wymysłem, skomponowanem ad hoc dla Tomasza. Ilski w rzeczywistości nigdy się jej nie oświadczał, nigdy żadną wzmianką nie poruszył ich możliwej wspólnej przyszłości. Przychodził, prawił komplementy, odprowadzał z biura, zapraszał do cukierni lub kina, — oto wszystko.

Lecz Kota święcie wierzyła w jego miłość, wielką Miłość, i sama wyobrażała sobie, że go szalenie kocha. W rzeczywistości kochała w nim zadowolenie miłości własnej, zaspokojenie wrodzonej jej potrzeby błyszczenia, poczucia, że jest podziwianą, pożądaną, wzbudzającą zazdrość innych kobiet. Uczucie to było szczere, to też cierpiała szczerze czując sie zaniedbywaną. Koleżanki na wyścigi dopytywały się złośliwie: — Cóż to pan Roman tak rzadko teraz przychodzi? Czy pogniewaliście się?

— Prosiłam go, by nie przychodził po mnie tak często, bo to zwracało ogólną uwagę — odpowiadała Kota wyniośle, udając że nie widzi ironicznych uśmieszków, towarzyszących temu oświadczeniu. Zaczem wracała do domu i siadając w swoim pokoju na kanapie pełnej banalnych jak ona lalek, czarno-białych pierrotów, kryła twarz w dłonie. Nie płakała oczywiście, cóżby się stało z rzęsami? Ale miała na to szczerą ochotę. Czuła się najnieszczęśliwszą w świecie, opuszczoną, zdradzoną, skrzywdzoną. — Co pocznę, jeżeli on mnie rzuci? — powtarzała sobie z rozpaczą, w swem ubóstwie duchowem nie umiejąc dojrzeć innej wartości, ni celu życia. Cierpiała mocno, cierpiała szczerze. Cierpiała tak, że zdawało się, iż nawet ta nowa, upragniona suknia z flamisolu nie byłaby w stanie jej pocieszyć.

Co gorsza nie miała komu zwierzyć się ze swoją troską. Tomasz, Jadzia? Powiedzieliby spokojnie: przecież mówiliśmy, że tak będzie. Poczem zaraz zaczęliby niewątpliwie zwykłe uwagi o pustem życiu, o zajęciu się pracą... Jakby nie rozumieli, że to dobre dla zwykłych szarych ludzi, nie dla niej. Ona jest stworzoną do tego, by być czemś wyższem... Kobietą-kwiatem, demonem, Vampem, Alraune, Gretą Garbo... Antineą... Matą Hari... Przeto jak one może żyć tylko miłością...

Zostawały przyjaciółki. Niestety, zbyt podobne były do niej samej. Stąd miło było opowiadać im o swych podbojach i powodzeniu, — a nie o porażce.

Kota była sama i nieszczęśliwa. By to uwydatnić, podcieniowała oczy błękitnym ołówkiem i kupiła sobie pudru bledszego niż zazwyczaj. To dla domu. W biurze wolała podawnemu udawać zwycięską. Manewr domowy zawiódł. Nikt nie zwrócił na jej zbolałą twarzyczkę uwagi. Właśnie zginął jakiś chłopiec, którym Tomasz i Jadzia szczególnie się interesowali, i ta sprawa pochłaniała ich całkowicie. Byli nią przejęci do tyla, że Kota prawie dla nich nie istniała, — i ta świadomość pogłębiała jej zmartwienie.

A że na zmartwienie nie była odporną, nie umiejąc mu nic w duszy swej przeciwstawić, więc po kilku jeszcze dniach, nie mogąc znieść dłużej swojej samotności, zdecydowała się mimo wszystko pójść do Radja porozmawiać o tem z Tomaszem. Był sam i wyjątkowo wolny.

— Cóż cię tu sprowadziło? — zapytał uprzejmie — siadaj proszę, właśnie transmitujemy koncert z Warszawy... bardzo ładny.. Dobrze trafiłaś.

Kota wykonała nieokreślony ruch ręką, oznaczający: nic mi po muzyce, nic mi po wszystkiem... i osunęła się na fotel ruchem głębokiego przygnębienia.

— Na co te zbolałe pozy? — zapytał, (zawsze był brutalny i bez odczucia piękna, pomyślała) — Co się stało?

— Och nic... — odparła „głuchym" szeptem, wlepiając podkrążone błękitno oczy w „przestrzeń", która w tym wypadku była oddaloną od niej o dwa metry czerwoną kotarą.

— Ilski ma cię dosyć?...

— Och, ty tak zaraz Tomaszu... zawsze byłeś taki szorstki... szczególnie dla mnie.

— Więc nie to?

— On mnie nie ma dosyć, bo mnie kocha szalenie... szalenie... jak ja jego.. tylko...

— Woli cię nie widywać?..

— Właśnie, przychodzi tak rzadko... Coś mu widocznie przeszkadza... Nie chce mi wyznać, ale coś go widać dręczy... Ja czuję, że w tem się kryje jakaś tajemnica! — wykrzyknęła nagle i aż ją olśniło to powiedzenie Aż jej się lżej stało na sercu od samego dźwięku tego słowa: tajemnica...

W każdym innym czasie Tomasz byłby parsknął nielitościwym śmiechem, przywracając co szybciej wyględ w bujnej fantazji Koty fakta na właściwe miejsce. Dziś jednak nie było mu do śmiechu. Zginięcie Adasia, niewytłómaczone, niezrozumiałe, bolało go więcej niż byłby przypuszczał. W tem była tajemnica, tajemnica zapewne tragiczna, i słowo to przestało brzmieć dla uszu żartobliwie.

— Z czego to wnosisz? — zapytał spokojnie.

Kota poruszyła się na krześle z zadowoleniem. Nareszcie mówi z nią poważnie!

— No, ze wszystkiego.. zaczęła — ze wszystkiego... Bo on mnie tak kocha i jesteśmy dla siebie stworzeni...

— To już słyszałem nieraz... Zacznij rzeczowo od początku... Kiedy się zaręczyliście?... Kiedy ci się oświadczał?... Jak to było?... Tylko mów dokładnie.

— To było... było... dawno... — bąkała strwożona.

— Istotnie. Bardzo dawno.

— Niecałe cztery miesiące.

— Nie mniej, opowiadaj.

— Zapomniałam... — wyznała tragicznie.

— Aha. Czyli, że nie oświadczał ci się wcale?

— Tomaszu, jakiś ty okropny! Jak inkwizytor! Przecież sam wiesz, że są nieraz spojrzenia... spojrzenia... mówiące więcej niż słowa...

— Rozumiem. Na podstawie spojrzeń uważałaś go za swego narzeczonego?

Mniejsza o rzęsy! Kota rozpłakała się na dobre.

— Na podstawie tego, że mnie kocha szalenie! — szlochała, — przecież ciągle przy mnie był... codziennie przychodził... nigdy nic nie żądał... Żaden narzeczony nie mógł być taki czuły i miły i... przyzwoity, jak on... i...

— No i poprostu sprzykrzyło mu się to już... Tak jak powiedziałem odrazu...

— Więc po co by to wszystko robił! W jakim celu! — wykrzyknęła z rozpaczą, — po co by tyle czasu udawał?!

Tomasz wzruszył ramionami. Nie odpowiedział nic. Choć nigdy nie przywiązywał do słów Koty większego znaczenia, niż należało, zastanowił się nad jej ostatniem powiedzeniem. Istotnie jaki miał cel? Gdyby był chciał uwieść to cielątko, mógł tego, — Tomasz w to nie wątpił, — z łatwością dokonać... Więc co? Zakochał się w ładnej buzi, a potem zraził, poznawszy jej beznadziejną płyciznę?

To przypuszczenie wydało mu się najprawdopodobniejsze i w ogledniejszej nieco formie powtórzył je Kocie.

Zaprotestowała gorąco, urażona do żywego.

— Nie znasz go! Nigdy nie chciałeś poznać! Choć tak cię nieraz prosiłam! Dlatego nic nie wiesz o nas... Nie wiesz jak bardzo się rozumiemy... jacy jesteśmy dobrani...

— Moja Koto, — przerwał, zniecierpliwiony, — trzymajmy się rzeczywistości. Ja go chciałem poznać. On nie chciał. Znalazł zawsze sto powodów, by się wykręcić od widzenia się ze mną... Wystarczyło mi to, bym się upewnił w przekonaniu, że nigdy o tobie poważnie nie myślał... Dziękuję Bogu, że się tak skończyło... Przyznaję, że okazał się uczciwszym, niż myślałem... Uważam tę sprawę za najzupełniej skończoną i mam nadzieję, że ty również...? C. d. n.

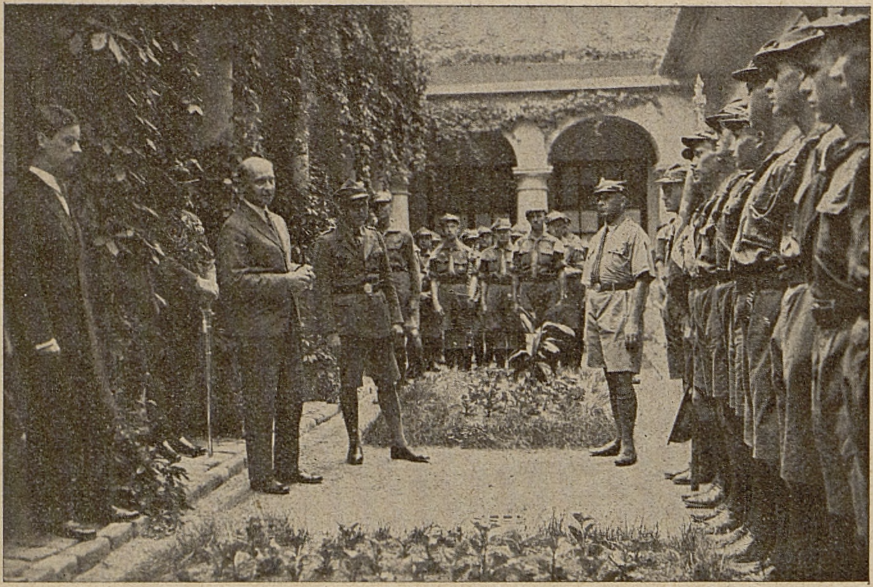
JAMBOREE



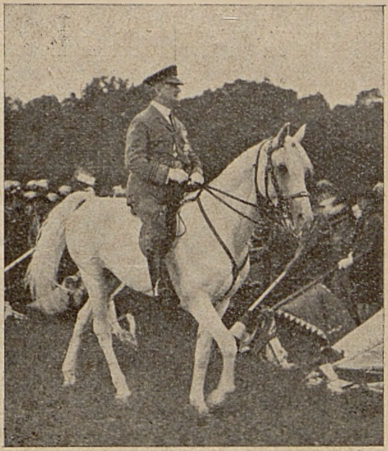
Druh Przewodniczący towarzyszył kilka dni Wyprawie Polskiej w Gödöllö. — Przed namiotem, w którym mieszkał, toczyły się nieustannie różne konferencje



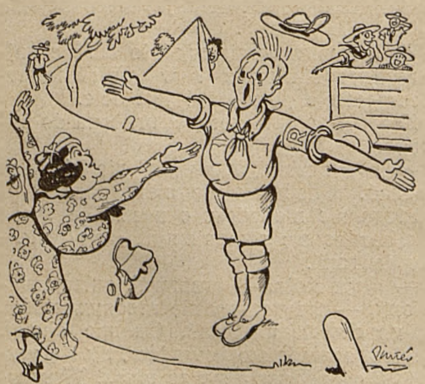
Fragment „defilady naro dów“ — Czechosłowacja.



Wizyta drużyny reprezentacyjnej u Posła R. P. w Budapeszcie.

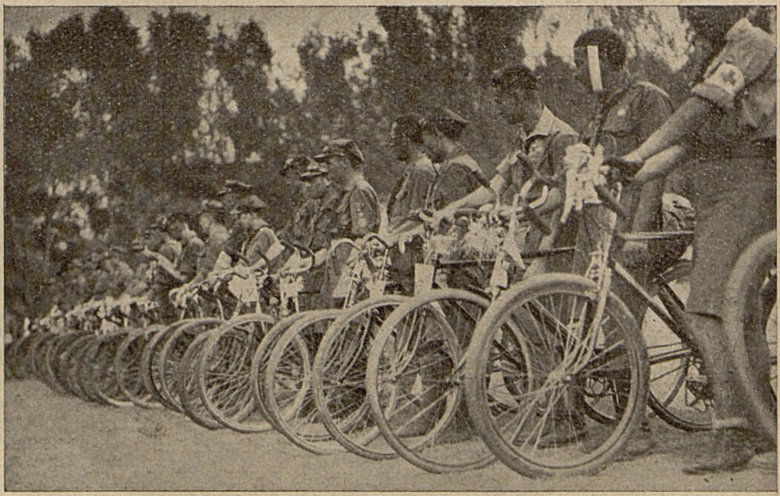


Regent Węgier Horthy w dniu otwarcia Jamboree, dokonał konno przeglądu zebranych w Gödöllö skautów 49 narodowości.



Skaut-policjant do matki, która, widząc syna z szeroko rozstawionemi ramionami, chciała się w nie rzucić:

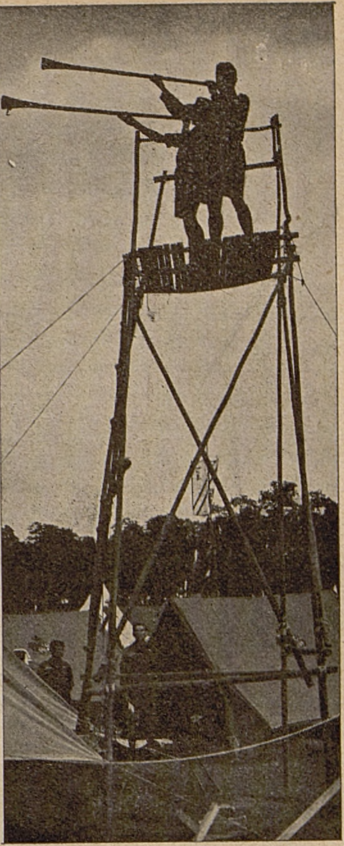
— Rety mamo! Ja jestem przecież na służbie!



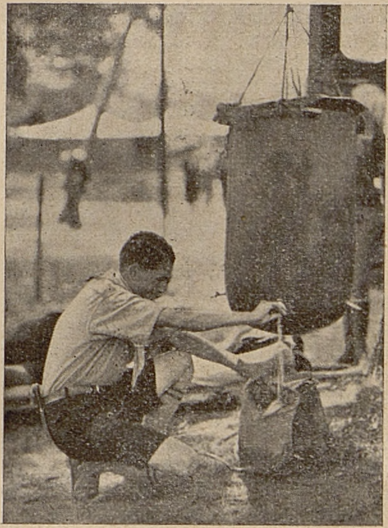
Na Jambo przybyła z Polski wyprawa kolarska, złożona z 50-ciu kolarzy. Do mechanicznego taboru wyprawy należały prócz tego 4 auta i 3 motocykle.



W czasie trwania Jamboree bawiła w Budapeszcie wyprawa włoskiej Balilli, która również odwiedziła obozy zlotowe.



Sygnał wieczorny na trąbitach.



Tak zw. „Krowa obozowa", czyli zbiornik na wodę, używany przez skautów francuskich.



Na ognisku, organizowanem przez Polskę, popisywali się również Cejlończycy w oryginalnych strojach ludowych.







Egzotyka na Jambo święciła swoje triumfy: oto skaut w bojowej szacie Indjanina i oryginalni Syryjczycy, którym towarzyszył wielbłąd.

ATMOSFERA DŻEMBOROWA.

(Ciąg dalszy ze str. 133.)

Włosi są popularni i ku milczącym, surowo kroczącym chłopcom w czarnych koszulach rozjaśnionych białemi sznurami, wyciągają się ręce. Słychać okrzyki: Salute! Lecz oni nie odwracają głowy, przechodzą, milcząc.

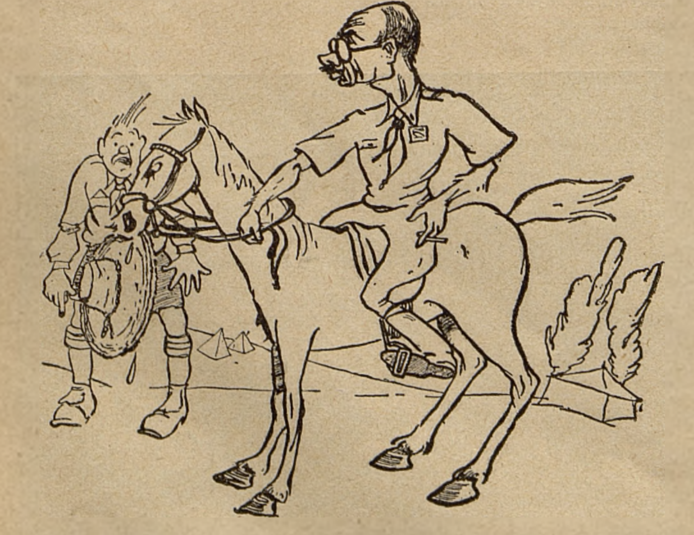
W polskim obozie orkiestra rżnie oberka. Siedząc za stołem stary Baden-Powell uśmiecha się ku tańczącym, siecią zmarszczek pokrywających mu łagodną twarz. — Ej, mazur! Oj, dziś! dziś! — Furkoczą barwne spódnice dziewcząt, czerwienią się samodziały... Mazur to, mazur! Obaczyć taki można jeszcze tylko w harcerskim obozie.

Aż stary Baden-Powell wstaje i drobnym kroczkiem podbiega ku tańczącym, filmując ich własnoręcznie. Szef harcerstwa łotewskiego, siwy pan, co może niegdyś służąc w rosyjskiem wojsku bywał w polskich dworach i mazura widywał, prosi o pozwolenie wzięcia udziału w tańcu. Za nim czarny Armeńczyk, kilku Węgrów, Norweg. Radosna międzynarodówka. Oj, dziś! dziś! Na Jamboree!....

Lecz warto oderwać się od tego gwaru, by uważniejszem okiem rzucić na urządzenie poszczególnych obozów. Najpiękniejsze są bezprzecznie węgierskie i publiczność tłumnie zwiedzająca musi opuszczać obóz ze zrozumiałem poczuciem radości i dumy, skauting węgierski bowiem przedstawia się na nim zupełnie imponująco. Sprawność, wyrobienie, kulturalność, wyjątkowa uprzejmość i gościnność, a przedewszystkiem przedziwnie estetyczny wygląd obozów niewyczerpana ich pomysłowość, stawiają naszych gospodarzy na pierwszem miejscu Jamboree. Dla oczu rozmiłowanych w folklorze prawdziwą rozkosz stanowi wędrówka wśród niezliczonych bram i bramek, płotków i ogrodzeń, z których każde inne, a wszystkie barwne, lekkie, doskonale architektonicznie rozwiązane. Bramy szumiące kitami szuwarów, bramy z trzciny po której biegnie napis ułożony z ciemno brunatnych pałek o aksamitnym połysku, bramy ze słomy misternie plecionej, bramy z charakterystycznych ludowych pierników, — pęków trawy „Arvalanyhaj", z doniczek kwitnących kwiatów.... Brama — stary studzienny żóraw, obwieszony pękami kukurydzy, malowniczych tykw i czerwonego pieprzu. Parkan z nut, grających pierwsze takty węgierskiej narodowej pieśni... Łańcuch drewniany długości wielometrowej o drobnych gładkich ogniwach, którego każde przęsło wykonane jest z jednego kawałka. Prawdziwy rekord cierpliwości, dokładności i artystycznego wykonania. Pracowity ten łańcuch umocowany jest na 28 słupkach, z których każdy inaczej malowany i rzeźbiony. Gdzieindziej ciągnie oko mozajkowy obraz skomponowany na ziemi, stanowiący ilustrację do starej pieśni węgierskiej. W oddali domy, wieże... Nadjeżdża pociąg. Trzynaście dziewcząt biegnie witać go powiewając chusteczkami, a tylko jedna czternasta w żałobie klęczy na uboczu i płacze.

Nie znam tekstu pieśni, ale obraz-prymityw z kolorowych kamyków, muszli, szyszek i t. p. przedmiotów złożony zdradza duże poczucie artystyczne.

Idealny porządek i ład potęguje estetyczne wrażenie. Po węgierskich, słowiańskie obozy są najpomysłowiej ozdobione.



Komendant Jamboree, Hon. Skaut Naczelny Węgier, hr. Teleky — oczami karykaturzysty.

Znać na nich indywidualizm odnośnych ras i wysokie zdolności zdobnicze.

Natomiast zasobne, obszerne obozy anglosaskie nie posiadają walorów oryginalności i fantazji. Obóz angielski odznacza się zupełną beztroską o to, co publiczność pomyśli o jego wyglądzie. Jest w nim czysto, niewątpliwie wygodnie, lecz przesłaniają całkowicie widok rozwieszone wszędzie ręczniki, sienniki, prześcieradła. Żadnych ozdób, żadnych bramek. Te ostatnie napotkamy dopiero w niektórych Dominjach.

Wspaniały obóz amerykański, obwarowany wejściem w kształcie kwadratowych obronnych wież, tchnie ładem, zamożnością i standardem. Standard! Standard! Namioty nowe i równe jak z pod stempla, każdy jednakowo ozdobiony dwiema chorągiewkami jednako skrzyżowanemi, — jednakowe koce, materace, poduszki. Stoły, krzesła, zastawa stołowa, solidne kuchnie, przypominają mieszkanie, nie obóz. Na tle tego nudnego dobrobytu, nieoczekiwaną nutą wybijają się postacie czerwonoskórych Indjan. Autentyczne stroje ostatnich Mohikanów, lub Komanczów, na uszminkowanych na miedziano chłopcach. Czepce z dziwacznych paciorków, z których wybucha dumnie wiecha, strzecha, stulony odwrotnie parasol z orlich długich piór. Każde pióro tkwi osadzone w artystycznie wykonanej tulei z paciorków i skóry, a na końcu orlich lotek chwieją się jeszcze jakieś jaskrawe, wątłe puchy. Na plecach, ni to kołnierz, ni to ornat ze skóry przedziwnie zdobionej, u pasa tomahawk, przedmiot tylu marzeń dziecinnych, i sznury do wiązania skalpów. Lędźwie w spodniach frędzlistych, lub gołe, przepasane tylko wąskim fartuszkiem skórzanym.

I tak się przechadza ta przeszłość w swem barbarzyńskiem pięknie i fantazji, skroś zestandaryzowanej teraźniejszości.

Samowystarczalności, tradycji, wzorów, nie brak natomiast w polskim obozie. Mówi o tem na wstępie brama wejściowa, spokojna, staroświecka, z przydaszkiem, strzechą, wrótkami bocznemi, jak przystoi zagrodzie słowiańskiej. Sławna 16-ka Poznańska ma pięknego Światowida, przed nim smok z wykręconego dziwacznie korzenia i wielka barwna mapa plastyczna wsparta o stalugi, przedstawiająca tryumf polskich skrzydeł, — przelot kpt. Skarżyńskiego przez Ocean. Łódź chełpi się słusznie bogatą i dobrze skomponowaną świetlicą sieradzką. W obozie pomorskim sieci zastępują ogrodzenie, w świetlicy znów mapa plastyczna — Gdynia i ceramika z Chmielna koło Kartuz i hafty kaszubskie. Lublin złoci się pod strzechą. Podhale nosi chustki z parzenicą i czepki z piórem otoczone charakterystycznemi muszelkami. Poza góralską ornamentacją, dumę tego obozu stanowi wzorowa harcerska apteczka, zaopatrzona we wszystko, co może być w nagłych wypadkach potrzebne, a mieszcząca się w plecaku. Śląsk otoczył się płotem o motywach młotków i kilofów górniczych, śląska świetlica ściąga nieustannie ciekawych. Kraków wzniósł ładną kaplicę. W każdym zakątku znać pieczołowitość wspartą niewyczerpaną fantazją. Tu wązka krajka obrzeżająca brzeg deski zamienia prosty sprzęt w pełną ozdoby całość. Ówdzie świeczniki z korzenia, którego naturalne skręty wyzyskano umiejętnie i artystycznie. Totemy, tablice rozkazów, kapliczki, biorące motywy ze świątków danej okolicy, ciągną oczy swą różnorodnością. Namioty 25-tej drużyny warszawskiej odznaczają się nietylko smakiem, lecz „wyszukanym" komfortem. Znajduje się w nich bowiem swoiste oświetlenie elektryczne, zmontowane za pomocą baterji anodowej.

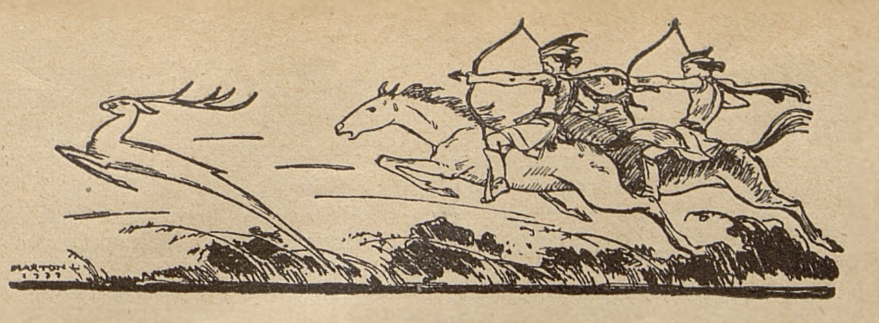
Pięknie i pomysłowo przedstawia się obóz marynarski o ogrodzeniu malowniczo skomponowanem z wioseł i bramie z kajaków. Najmniej ozdobny jest oddalony o trzy kilometry obóz szybowców, ludzi - ptaków. Choć tak skromny i odległy, nie przestaje być jednak ośrodkiem ogólnego zainteresowania. Odkąd Kula wzbił się na półtora tysiąca metrów i cicho, jak wielki nocny ptak o miękkich skrzydłach, sfrunął nad Budapeszt, gdzie wylądował na placu wśród nieopisanego entuzjazmu ludności — odkąd Mymarski latał bez przerwy trzy godziny nad lotniskiem, — wiedzą wszyscy, że polscy szybownicy nie mają sobie równych w Europie.

... — Hallo druhu, skąd wracacie?

— Musiałem skoczyć na chwileczkę do Australji, zobaczyć jak tam jest...

— No i jakże?

— Dosyć sobie morowo.. Ale w Sjamie lepiej... Sjam i Śląsk, wiecie, to najbardziej uharcerzone objekty... W Sjamie sam król jest przewodniczącym... Wracając wstąpiłem do Syrji.. Wielbłąd jest czegoś zdenerwowany i pluje...



ZNACZKI POCZTOWE.

W okresie Jamboree było na Węgrzech wszystko jamborowe. Czegokolwiek zapragnąłeś, dostawałeś w cserkeszboltach (sklepach skautowych) i wszystko z jeleniem i napisem: Jamboree, Gädöllö, 1933. Więc mydło, pastę, nożyki do brzytwy, papierośnice, puderniczki. Ogromne reklamy głosiły: „Jamboree fösör" (jamborowe wino), ale bardzo szybko przekonano się, że ci w rogatywkach, których każdy pozdrawia „czuwaj", piją wprawdzie dużo, ale tylko wspaniałą, mineralną wodę, Harmatviz, 60 fillerów za dwulitrową butelkę. Inni chwalili sobie fösör.

Nie obeszło się więc i bez znaczków jamborowych, które zresztą kursowały jak normalne znaczki i taką też mają ważność filatelistyczną. Wyszła ich cała serja jednakowa w rysunku. Wartość i kolory są następujące: 10 fillerów — ciemno zielony, 16 f. — ciemnobrunatny, 20 f. — karminowy, 32 f. — żółty i 40 f. niebieski.

O jeleniu na rysunku jest piękna legenda. Było tak. Bracia Hunor i Magor mieszkali za górami, za lasami. W lasach tych polowali chętnie i z zamiłowaniem. Raz napotkali białego jelenia, który wśród jeleni jest białym krukiem. Gdyby się jakiś naukowiec zabrał do wyjaśniania legendy, powiedziałby w tem miejscu: „był to poprostu jeleń albinos, pozbawiony barwika skóry i dlatego siwy, miał też pewnie czerwone



tęczówki, jak białe króliki i inne biało uwłosione i upierzone zwierzaki". — Ale dla braci myśliwych nie był to zwykły jeleń, dla nich było to szczęśliwe przeznaczenie. Okazało się bowiem, że jelenia ani z kuszy trafić, ani doścignąć niesposób. Zapalili się myśliwi, pościgiem i zapędzili w zupełnie sobie obce okolice. Wtedy jeleń znikł. Okolice, w które zabrnęli, opływały mlekiem i miodem. — „Dobrze tu — pomyśleli bracia — a u nas gorzej".

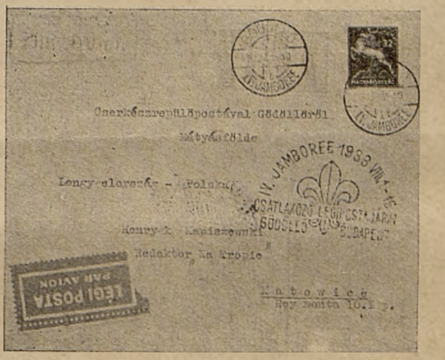
Po długiem błąkaniu odnaleźli swoje domy i sprowadzili rodziny do błogosławionej ziemi. Hunor dał początek plemieniu Hunów, Magor — Madziarów, którzy kiedyś później przenieśli się w dolinę Dunaju i plemię ich rozrosło się w naród węgierski, otaczający do dziś dnia umiłowaniem białego jelenia.

Naczelny Skaut Świata, żegnając Jamboree, tak mówił: „Pamiętajcie o jeleniu. Napięty wspaniałym skokiem, wskazuje on wam drogę wdal i wgórę. Ku szczęściu. Jeśli spełnicie ideą waszą wskazane wam obowiązki służby Bogu, Ojczyźnie i bliźniemu — jeleń zaprowadzi was w szczęście".

Każdy uczestnik Jamboree miał przyszytą do koszulki odznakę z jeleniem.

Wszystkie poczty w Gödöllö miały oprócz znaczków także jamborowy kasownik, pieczęć pocztową ważną jedynie w okresie trwania zlotu z napisem: „Gödöllö. IV Jamboree".

Prócz tego można było nadać na każdej poczcie list lotniczy, taki jak tu widzicie. Opłacało się go bądź znaczkami jamborowemi, bądź zwykłemi, poczty lotniczej (te dwa podłużne, to są właśnie znaczki lotnicze po 16 fillerów). Poczta lotnicza na Matyasfölde koło Budapesztu miała też swoją specjalną stampilę jamborową, której reprodukcję macie na kopercie. **Ex. sk.**



— Na trzydzieści tysięcy osób musi jedna być zdenerwowana...

— Bo pewnie.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Przechodzę, by zajrzeć jeszcze do Ameryki lub Szwecji. Skrócona wędrówka po kuli ziemskiej, poniekąd zresztą autentyczna. Harcerze przybyli z obcych stron to nie zwykli delegaci, przybywający na taki, lub inny zjazd międzynarodowy. Tu każdy wraz ze swoim namiotem przywiózł część rodzimego kraju, rodzimego zwyczaju, folkloru, duszy... Przywiózł swój własny charakter i swoje rzeczywiste oblicze. I, rzecz zadziwiająca: Te wszystkie cechy tak napozór nieraz sprzeczne, dążenia i problemy polityczne tak niezgodne, przetopione przez idealizm młodzieży, szczerej, uczciwej, entuzjastyczne, jak każda młodzież, dały harmonijną całość, której żadni dyplomaci nie potrzebowali sztucznie podtrzymywać ani sklejać.

Podtrzymywała ją wystarczająco atmosfera jamborowa. Specyficzna, jedyna na świecie. Cały glob zmniejszony nagle przybył do Gödöllö, niby do rajskiej wyspy, gdzie wszyscy żyją w zgodzie.

Atmosfera owa braterska sprawiła, że przez ubiegłe dwa tygodnie na terenie Jamboree nie zaszedł ani jeden zgrzyt, ani jeden wypadek zamanifestowania nacjonalistycznej niechęci kogokolwiek przeciw komukolwiek.

Fakt dodający otuchy, dowód że zgoda między ludźmi jest możliwa.

I w tem leży najważniejszy dorobek i sens Jamboree.

Przyszły numer „Na Tropie" poświęca latu harcerskiemu.

Poda on wieści o

sztafecie kajakowej, rekordzie szybowcowym Mynarskiego, zwycięstwach harcerzy — łuczników, powodzeniu harcerek i harcerzy wodnych, międzynarodowym kursie harcerek na Buczu, obozach i kursach harcerek i harcerzy, harcerskich kursach zagranicznych, wizycie Jamajczyka w Polsce, oraz wielu innych niezmiernie ciekawych rzeczach.

Kto pragnie przysłać do „Na Tropie" wiadomości z letniego życia drużyny, niech się spieszy, gdyż w październiku zamykamy sprawozdania z lata i później już do tego tematu wracać nie będziemy.

Na Tropie Zuchów.

ZUCHY NA JAMBOREE.

Z boku...

Jamboree było zlotem dorosłych harcerzy z całego świata. Mowy nie było o tem, aby jakikolwiek naród mógł przywieźć na Węgry swoje zuchy!

Ale zuchom węgierskim upiekło się! Im również nie było można urządzić się na Jamboree, lecz wodzowie ich obmyślili chytry podstęp wojenny i urządzili wielki obóz zuchowy trochę z boku od właściwego Jamboree. W odległości 1 km. od głównych bram Jamboree rozbiły namioty trzy węgierskie organizacje zuchowe.

Pod namiotami.

Zuchy polskie nie mogą mieszkać w namiotach i lato spędzają na kolonjach. U zuchów węgierskich jest inaczej.

Dlaczego?

Bo na Węgrzech jest bardzo ciepło. Szczególnie ciepłe są noce. Można naprzykład całą noc przesiedzieć tam w jednej cieniutkiej koszulce i zupełnie nie odczuć zimna. Dlatego też wodzowie węgierscy nie boją się przeziębień chłopców i urządzają im obozy pod namiotami.

Widać jednak odrazu, że nie tak to łatwo mieszkać zuchowi w namiocie. Nie było w namiotach zuchowych wielkiego porządku, ani też żadnych ciekawych urządzeń obozowych. Trudno! Te rzeczy dobrze robią dopiero skauci.

Ile jest zuchów na Węgrzech?

U nas, w Polsce, zuchy-chłopcy mają swoją jedną organizację. A zuchy węgierskie — aż trzy! I każda z tych trzech organizacyj bawi się w zupełnie inne rodzaje gier.

Jest więc na Węgrzech około 1200 **wilcząt,** którzy mają mundurki zupełnie takie same jak wilczęta angielskie i tak samo bawią się w Mouglego, wilczków, niedźwiedzia-Balu i panterę-Bagirę.

Pozatem jest około 500 **„małych skautów“,** którzy noszą skautowe mundurki i ćwiczą się zupełnie tak samo, jak skauci dorośli, tylko, że wybierają sobie trochę łatwiejsze gry i ćwiczenia.

Ale najwięcej jest na Węgrzech **paziów** (ok. 5000). Ubierają się oni w mundurki podobne do stroju dawnych paziów z rycerskich dworów. Szczególnie ładne są ich czapeczki z piórkami. Pazie starają się naśladować średniowiecznych giermków i rycerzy i w grach swych i uroczystościach ciągle przypominają starodawne węgierskie obyczaje jeszcze z tego czasu, gdy Węgrzy byli dzikimi koczownikami.

Nam, Polakom, najwięcej podobali się pazie, gdyż są najbardziej podobni do naszych zuchów.

Czuj!

Wogóle wodzowie polscy bardzo często zaglądali do zuchów węgierskich, śpiewali z nimi i bawili się w różne gry. Nie jest zupełnie trudno bawić się Polakom z węgierskimi chłopcami. Rozmawia się wtedy na migi, a ponieważ zuchy są roztropne i bystre, więc odrazu rozumiały o co chodzi.

Dwóch wodzów — druh Danek G. i druh Kazik J. najczęściej odwiedzali węgierskich zuchów. Między innemi nauczyli ich polskiego pozdrowienia: „czuj“. Doszło do tego, że wszystkie zuchy węgierskie zaczęły między sobą i z gośćmi pozdrawiać się słowem „czuj“.

Karuzela.

Pozatem Polacy nauczyli małych madziarów tańczyć karuzelę. Tak się złożyło, że tej nauce przyglądało się kilkudziesięciu wodzów z całego świata: Anglików, Francuzów, Austrjaków, Duńczyków itd. I tak się im karuzela podobała, że odrazu zaczęli ją sami tańczyć. Kto wie, czy wkrótce nasza karuzela nie stanie się ulubionym tańcem zuchów całego świata?

Zebranie.

Jednego dnia (5. VIII.) odbyło się w zuchowym obozie wielkie zebranie wodzów ze wszystkich narodów, które przyjechały na Jamboree. Na zebraniu były różne odczyty. Między innemi zabrali głos Polacy i długo a szeroko opowiadali o tem, jak bawią się nasze zuchy. Wszystkich to bardzo zaciekawiło, bo polskie zuchy mają zupełnie inne gry i ćwiczenia, niż zuchy innych narodów. Pod koniec zebrania Polacy zaproponowali, żeby zorganizować współpracę wodzów zuchowych całego świata. — Wniosek ten został przez wszystkich uchwalony.

Lasso.

Zuchy węgierskie nie urządzały żadnych zebrań, ale zato dużo bawiły się i ćwiczyły. I pokazało się, że Węgrzy umieją pewne bardzo trudne ćwiczenie: Lasso. Jest to sznur z pętlą, którego używali Indjanie do polowania na bawoły. Zuchy węgierskie umieją wykonywać tem lassem różne sztuki, naprzykład kręcić lasso nad głową, lub dookoła siebie.

Teatr marjonetek.

Pewnego razu urządziły zuchy teatr marjonetek. Jest to bardzo śmieszny teatr, gdyż na scenie długości jednego metra grają laleczki z drzewa i gałganków, poruszane palcami ukrytych harcerzy. Ma się rozumieć laleczki te nie mogą mówić, ale robią to za nich ukryci za sceną chłopcy.

Na tem przedstawieniu odbywały się na scenie jakieś zuchowe awantury w domu, na zbiórce i w obozie. Wszyscy się strasznie z tego śmieli, a najwięcej same zuchy.

Możeby polskie gromady spróbowały kiedy urządzić taki teatr marjonetek?

Eljen Lengielorsag!

Zuchy węgierskie — jak całe Węgry — bardzo lubiły Polaków. Gdy tylko chłopcy zobaczyli nasze rogatywki — zaraz podchodzili śmielej, niż do innych, proponując czendż i prosząc o autografy.

Gdyśmy odjeżdżali — zobaczyła to pewna gromada paziów i krzyczeć zaczęła chórem, na takty: „eljen Lengielorsag“, co znaczy — „Niech żyje Polska“.

Byliśmy tem wzruszeni i długo odpowiadaliśmy: „Eljen Magyarorsag“ — „Niech żyją Węgry“. **B.**

Wyratowanie z wiru.

Opowiadanie prawdziwe o dzielnym zuchu angielskim, który wyratował z toni towarzysza.

Pewnego pięknego dnia, pięciu chłopców kąpało się w rzece. Dwóch wyszło z wody i zaczęło ubierać się, gdy nagle zauważyli, że jeden z pozostałych chłopców, Daniel, znajduje się w niebezpieczeństwie, unoszony w stronę odległego o kilkaset metrów wiru. Natychmiast pospieszył mu z pomocą starszy z chłopców, będących na brzegu (Bakewell), lecz powrócił na brzeg wyczerpany.

Drugim chłopcem był dziewięcioletni Taylor. Był on najmłodszym z kąpiących się, a nauczył się pływać dopiero przed trzema miesiącami; niezwłocznie jednak skoczył do wody i schwycił tonącego. Chociaż Daniel był prawie dwa razy cięższy od Taylora i nieprzytomny, dzielnemu chłopcu, wprawdzie z wielkim trudem i po zaciekłej walce, udało się dotrzeć do brzegu, gdzie oczekiwali nań z pomocą towarzysze.

Za męstwo Naczelny Skaut Świata, lord Baden Powell odznaczył zucha Taylora srebrnym krzyżem. **H. S.**

Goście angielscy w Gdyni.

Godz. 9 rano. Na molo, koło American Scantic Line długie szeregi harcerek i harcerzy. Przed frontem władze Związku z Przewodniczącym Dr. Grażyńskim na czele. Do molo wolno dobija wielki, oceaniczny statek Calgaric. Wszystkie pokłady zapełnione są granatowemi mundurami skautek angielskich. Między niemi od czasu do czasu przewija się kolor khaki — to skauci. Jest ich tylko 50, reszta w liczbie ponad 600 osób, to żeńska starszyzna Anglji. Wreszcie statek jest już tak blisko, że można rozpoznać twarze. Z szeregów harcerskich wydobywa się jeden wielki okrzyk: — Czuj! Czuj! Czuwaj! — który przechodzi w inne okrzyki i brzmi bez przerwy dobrych kilka minut. Z górnego pokładu Lady i Lord Baden Powell ślą pozdrowienia.

Statek przycumowany. Po spuszczonym pomoście wchodzą nasze władze: druh Przewodniczący wita Naczelnego Skauta, przemawia Wiceprzewodnicząca dhna Śliwowska, wyrażając radość całego harcerstwa z przybycia wycieczki. O godz. 10.30 przy dźwiękach hymnów angielskiego i polskiego zeszedł na ląd Skaut Naczelny z małżonką i świtą. Równocześnie od strony miasta przybył gen. Składkowski, który imieniem rządu powitał serdecznie Baden-Powellów, zapewniając ich, że polskie władze państwowe w pełnem zrozumieniu harcerstwa udzielają mu jaknajwiększego poparcia. Następnie odbył się przegląd drużyn polskich i gości, poczem ci ostatni udali się na zwiedzenie portu i miasta.

Tymczasem Skaut Naczelny z Małżonką oraz sztab polski udali się do obozu, który na polance Redłowskiej rozbiły reprezentacyjne drużyny harcerek z całej Polski. Obóz wyglądał imponująco. Pomorze zrobiło świetną świetlicę, Śląsk — hotel, Bucze — sklep, Lwów, „Semper fidelis", chwalił się stołem; była i kapliczka i piękna brama z sieci rybackich i małe muzeum przyrodnicze i świetnie urządzone namioty Łodzi i wiele innych ciekawych rzeczy. Przybywających gości powitała w bramie dhna Callierowa, a mała harcerka wręczyła im tacę z chlebem i solą. Baden-Powell z drobiazgową dokładnością zwiedził cały obóz, nie darował kuchniom obozowym, do których kazał się zaprowadzić po obiedzie, wydanym przez obóz dla starszyzny angielskiej i polskiej, oraz p. min. Składkowskiego. Popisy harcerzy i muzyki poznańskiej, wręczenie albumów ze zdjęciami z Gödöllö, setki fotografów, oto fragmenty z obiadu. Po obiedzie Baden-Powell wrócił na statek, gdzie o 4-ej podejmował skolei gospodarzy herbatką. Równocześnie cała wycieczka zwiedzała polski obóz. O godz. 17-ej statek odbił od polskiego wybrzeża, odjeżdżając do innych portów Bałtyku.

Przyjęcie wycieczki odbyło się nadzwyczaj sprawnie i zrobiło na naszych gościach jaknajlepsze wrażenie. Najwymowniejszym tego dowodem są słowa Baden-Powella zwrócone do przedstawicieli naszej prasy: „Znane mi już były tradycje polskiej gościnności i serdeczności. Dzisiaj miałem okazję przekonać się naocznie, jak mało wiedziałem i jak dalece polska serdeczność przeszła granice mojego oczekiwania".

Wieści z Jamboree.

KATASTROFIE uległ pewien węgierski motocyklista w zderzeniu z polskiem autem. A było to tak: Polskie auto z trudem przepychało się przez jedną z rojnych ulic Gödöllö. Na jego stopniu stanął harcerz Wróblewski. W tem z bocznej ulicy wypadł kierowany przez skauta węgierskiego motocykl z przyczepką, w której siedziała jakaś pani. Motocykl wyrżnął w auto i potoczył się kilkanaście metrów wlokąc za sobą Wróblewskiego, o którego zaczepił. Wynik katastrofy był smutny. Motocyklista postradał życie, jego towarzyszka straciła obie nogi, a Wróblewski został mocno poturbowany. Na szczęście był to jedyny tak przykry wypadek podczas Jamboree.

ZAOPATRZENIE TERENU JAMBOREE w wodę było trudnem zadaniem. Służyły do tego liczne pompy, pędzone elektrycznością, działające dzień i noc. Maszyny obsługiwali skauci węgierscy, poświęcający się tej służbie przez cały czas trwania Jambo.

ZEBRANIE SKAUTÓW, którzy pracują w harcerstwie dłużej niż 20 lat odbyło się podczas Jamboree. Było na niem około 70 skautów, a Polska była licznie reprezentowana.

TŁUMY ZWIEDZAJĄCYCH wędrowały dzień w dzień przez dżemborowe obozy. W jedną np. niedzielę zwiedziło Jambo 110 tysięcy ludzi. Świadczy to o świetnej propagandzie, jaką Węgrzy przeprowadzili w swoim kraju na rzecz Jambo.

GRUPA HARCEREK, która bawiła podczas Jambo na Węgrzech, swoim udziałem w pokazach przyczyniła się wielce do powodzenia Wyprawy Polskiej w Gödöllö. Na czele tej grupy stała druhna Olbromska, a towarzyszyła jej w ciągu kilku dni Naczelniczka G. K., dhna Wierzbiańska. Druhny mieszkały w Budapeszcie i dojeżdżały do Gödölö na próby i pokazy. Wzięły również udział w kilku wycieczkach po Węgrzech.

ZEBRANIE SKAUTÓW odznaczonych za uratowanie życia, nie było pozbawione swojej sensacji. Prowadził je sam Baden Powell. Kazał on wstać wszystkim obecnym. Potem powiedział: Kto jeden raz uratował życie, niech siada. Usiadła większość. Potem B. P. kazał siadać tym, co uratowali życie dwa, trzy, cztery razy. Coraz mniej zostawało stojących, aż w końcu wszyscy usiedli, pozostał tylko jeden druh Olędzki z Polski. Napróżno B. P. wywołuje — sześć razy, siedem razy, osiem razy... dh. Olędzki stoi. Zaintrygowany B. P. pyta w końcu — Ileż razy, do licha, uratowałeś życie ludzkie? — Jedenaście — padła odpowiedź.

MIEDZYNARODOWE BRACTWO SKAUTÓW ART. PLASTYKÓW im. Św. Jerzego powstało na Jamboree. Liczy członków 11 z Węgier, Francji, Czechosłowacji, Austrji, Australji i Polski. Do Bractwa wejdą również przedstawiciele innych krajów. Inicjatorem nowego bractwa jest Dh. Czarnecki. Siedzibą bractwa będzie na wniosek Węgier i Austrji, a za zgodą wszystkich — Warszawa. Pierwsza Konferencja odbyła się na terenie polskiego obozu na Jamboree dnia 13 sierpnia.



1. Skautka węgierska przyjaźnie wita mniemaną skautką z zagranicy...
2. ... która okazuje się Szkotem!

Wszystkie ilustracje, publikowane w niniejszym numerze, wzięte są z „Jamboree Magyar Cserkesz."

KRONIKA DŻEMBOROWA.

NA MIĘDZYNARODOWEJ KONFERENCJI Skautów, która obradowała podczas Jamboree, Polska odniosła duże sukcesy. Poraz pierwszy bowiem od czasu istnienia Komitetu Międzynar., złożonego z 9 członków, w jego skład wszedł Polak w osobie druha T. Strumiłły. Referat zaś druha Wołkowicza o wymianie młodzieży wywołał duże zainteresowanie i był jednym z dwóch referatów, które stały się przedmiotem specjalnych rezolucyj.

PRZYJĘCIA W OBOZIE POLSKIM cieszyły się wielkiem powodzeniem. Na pierwszem z nich — w obozie Chor. II. był obecny Baden Powell, który wyraził się, że Polskę naśladują już inne narody w korzystaniu ze strojów, tańców i śpiewów ludowych, a w przyszłości będą naśladować w dobrze zrozumianej współpracy harcerek i harcerzy, oraz w ruchu szybowcowym. Na marginesie dodam, że po tem przyjęciu jeden z delegatów przyznał się, że się ciężko rozchorował z przejedzenia... Na drugiem przyjęciu — w Chor. I., Warszawskiej — odbyła się uroczystość wręczenia odznaki wdzięczności polskiemu Ministrowi Pełnomocnemu w Budapeszcie, p. Łepkowskiemu, który otoczył naszą wyprawę prawdziwie życzliwą opieką. Podobną oznakę otrzymali hr. Teleky, Papp, Hedervary i Molnar.

REGENT WĘGIER, HORTHY bawił 8. 8. rano w obozie polskim, witany u wejścia przez Komendę Wyprawy z Przewodniczącym Z. H. P. dr. Grażyńskim na czele. Regent Horthy zwiedzał obóz, interesując się żywo jego urządzeniem. Przy pożegnaniu harcerze złożyli Regentowi upominek w postaci pięknego albumu dzieł malarzy polskich.

NA PRZYJĘCIU DELEGATÓW na Kongres Międzynarodowy, które odbyło się w Wąg. Ministerstwie Spraw Wewn., Naczelny Skaut około kwadransa rozmawiał z Ministrem Pełnomocnym Polski, mówiąc między innemi o tem, dlaczego nie przybył do Polski, oraz o tem, jak to Polacy urządzili koncentryczny atak na jego Małżonkę... swoją niesłychaną gościnnością, okazaną pani Baden Powell podczas Jej pobytu w Polsce. Drugim faktem, zasługującym na podkreślenie, były gratulacje, których nie szczędzono panu Ministrowi Łepkowskiemu z powodu postawy i sympatji, jaką się cieszy polska wyprawa wśród społeczeństwa węgierskiego.

CZŁONKOWIE K. P. H. również wzięli udział w Jamboree. Ich wycieczkę prowadziła druhna Łowińska, wiodąc ich wzdłuż i wszerz przez całe Węgry, a nawet aż do Wiednia.

W OBECNOŚCI REGENTA HORTHY'EGO odbyły się na wyspie Csepel popisy skautów wodnych z udziałem Węgrów, Polaków i Austrjaków. Popisy naszych harcerzy wypadły bardzo interesująco i zwróciły uwagę Regenta, który przed opuszczeniem terenu pokazów poprosił do siebie Przewodniczącego Z. H. P. dr. M. Grażyńskiego i wyraził mu swoje pełne uznanie dla naszych harcerzy wodnych, serdecznie dziękując za ich efektowny popis, oraz wypytując dokładnie o rozwój tej gałęzi naszego ruchu.

OGNISKO POLSKIE było w dniu 10-go sierpnia transmitowane na wszystkie radjostacje polskie. Na ognisku przemawiał w niezwykle serdecznych słowach komendant obozu dżemborowego hr. Teleky i Nacz. G. K. H., druh Olbromski. Piękną gawędę wygłosiła również p. Osińska. Treść ogniska wypełniały pieśni i muzyka polska i węgierska. — Skauci angielscy również odśpiewali pewną wesołą piosenkę, zaś Cejlończycy przy dźwiękach nastrojowego bębna odtańczyli bardzo oryginalny taniec.

KONFERENCJA SŁOWIAŃSKA, która obradowała w obozie polskim podczas Jambo, uchwaliła na najbliższy rok pozostawić Biuro Sk. Słow. w rękach czeskosłowackich pod przewodnictwem brata dr. Charwata, w przyszłym zaś roku przenieść Biuro do Polski z przewodnictwem dr. M. Grażyńskiego, oraz przyjęła zaproszenie Polski na Jambo Słowiańskie w 1935 r.

WYMIANA WIZYT przedstawicieli Czechosłowacji i Polski, jaka odbyła się podczas Jambo, przyczyniła się znacznie do zacieśnienia przyjaznych stosunków między temi dwoma narodami.

POLSKIE POPISY I TAŃCE cieszyły się na Jambo wielkiem powodzeniem. Szczególnie pięknie wypadł popis na arenie, który rozpoczął się od tego, że 200 chłopców, trzymając flagi polskie, ustawiło się na arenie, linją sztandarów znacząc granice Polski. Wewnątrz tych granic stanął maszt i zawiała polska flaga, poczem przed trybuny zajechały wozy, wiozące harcerzy i harcerki poprzebieranych w stroje ludowe, którzy odtańczyli wspaniale szereg naszych tańców regjonalnych.

OGNISKO STARSZYCH SKAUTÓW odbyło się z polskiej inicjatywy w obozie polskim i upłynęło w bardzo miłym nastroju. Miało ono na celu zżycie się starszych skautów i zaznajomienie ich z obrzędowością polskich ognisk.

W SZWECJI odbędzie się w 1935 r. przyszły Kongres Międzynarodowy i Jamboree skautów — rowerów.

POKAZ POLSKICH harcerzy wodnych wobec tłumów publiczności spotkał się ze spontaniczną owacją. Nasi żeglarze musieli powtórzyć cały popis, a nazajutrz zostali specjalnie ugoszczeni przez gubernatora wyspy Csepel.

WYCIECZKI NASZYCH HARCERZY do różnych miejscowości Węgier podejmowane były wszędzie niezwykle gościnnie. W niektórych miejscowościach liczne nawet grupy harcerzy przyjmowane były po jednym, lub dwóch chłopców przez poszczególne rodziny węgierskie.

SZYBOWCE były naszą dumą i przedmiotem najżywszego zainteresowania na Jamboree. Było ich sześć, w tem jeden własnej, harcerskiej roboty. Węgrzy mieli ich 5. Austrjacy tylko jeden. Nasza ekipa liczyła 26 ludzi, w tem 22 pilotów. Prawdziwymi naszymi asami byli dh Mynarski (który w lipcu ustalił rekord świata w długotrwałości lotu), dh Kula, który wylądował bez szwanku na rojnym placu w samem centrum Budapesztu i Piątkowski. Na czele polskiej ekipy stał jej organizator, druh Klasa. Wysoki poziom techniczny i doskonała postawa harcerska naszych szybowników postawiła ich bezapelacyjnie na czoło tej dziedziny pracy w całym ruchu skautowym.

LORD BADEN POWELL w pożegnalnem przemówieniu, zamykającem obrady Konferencji Międzynarodowej, podkreślił niezwykłą wartość ruchu szybowcowego w skautingu, oraz świetną postawę harcerzy-szybowników polskich i węgierskich, zachęcając przytem wszystkich do odwiedzenia ich obozu. Nic dziwnego, że słowa te wywołały wzmożone zainteresowanie szybownikami, które wyraziło się licznemi odwiedzinami w ich obozie.

PIERWSZE W ŻYCIU SKAUTOWEM zebranie skautowej prasy odbyło się z inicjatywy Szefa Prasy Wyprawy Polskiej w polskim obozie Jamborowym. Zebranie sprowadziło kilkadziesiąt osób z dyrektorem Międzynarodowego Biura, H. Martinem na czele. Goście mieli sposobność zaznajomić się z polskiem piśmiennictwem harcerskiem, poczem wysłuchali krótkiego przemówienia dha Kapiszewskiego, który podkreślił znaczenie prasy skautowej i zawiadomił zebranych, że reprezentanci prasy polskiej wystąpili do Biura Międzynarodowego z inicjatywą stałego urządzania zebrań prasy skautowej z okazji ważniejszych zjazdów — zebrań, które miałyby na celu organizowanie akcji zbliżenia międzynarodowego za pośrednictwem prasy. Inicjatywa polska spotkała się z jednym aplauzem zebranych.

Wszystkim, którzy zalegają z prenumeratą,
załączamy do niniejszego numeru blankiet P. K. O.

Prenumerata „Na Tropie“: z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 80 groszy. Cena numeru 40 groszy. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. **Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski“. Konto w PKO. Katowice Nr. 305.330.**

W skład Kom. Red. wchodzą: O. Grzbielowa, M. Kannówna, M. Kapiszewska, Z. Tworkowska, J. Wierzbiańska, W. Bublewski, J. Grzbiela, H. Kapiszewski, St. Kapiszewski, M. Wierzbiański, — „Na Tropie Zuchów“ redagują: dział żeński J. Zwolakowska, dział męski A. Kamiński.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o. Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.